

Piotr Życki

DECYZJA

Tego dnia spóźniony śnieg nakrył dachy pomorzańskich domostw. W białej szacie osada prezentowała się nieco odświeżenie. Nie od razu można było dostrzec brakujące dachówki. Warstwa białej przesłoniła kontury rozwalonych murów. Pochmurne niebo utrudniało zidentyfikowanie okien, za którymi nikt nie mieszka. A jednak wizerunek, jaki rozpostarł się przede mną był deprymujący. Nie ulegało wątpliwości — Pomorze nie ulegało podobnie do siebie.

Może podejść do mężczyzny, wywalającego mierzwę przez okienko obory; zagadnąć kobietę, zdążającą z wiadrami do pompy? Na pewno opowiedzieliby... No, oczywiście, opowiedzieliby. Ale takich rozmów zanotowałem wczoraj i dzisiaj rano kilkanaście. Wszystkie podobne do siebie. Dzieje ludzi, którym się nie powiodło.

Czekali na tę reformę tysiące chłopów, upatrujących w posiadaniu kawałka ziemi klucz do szczęścia, do dobrobytu. Wielu, z biegiem lat, stało się gospodarzami całą gębą, ale — nie wszyscy. Nie brakło i takich, którzy wytknęli sobie ziemię, po krótszej lub dłuższej walce z przeciwnościami, pozostawiali na łaskę losu, przenosząc się do miast. Inni nie potrafili rzucić ziemi. Nie potrafili zarazem należeć jej uprawić. To oni — ludzie z Mielna, Dziadkowa, Rybieńca, Łubowic, Górwa, Popowa-Ignacewa, Parcewa, Pomorza. Wegetujący do niedawna — albo do dziś.

Albo dlaczego? Dlaczego poszło im gorzej, niż tym na przykład z Przysieki, co na parcelach poradziły wybudować okazałe zagrody, albo tym z Mierzewa, którzy w spółdzielczym zespole zapewnili sobie dostatnie życie?

Nogi grzęzną w zamaskowanej warstwie śniegu glinie. Brnę w kierunku, gdzie kiedyś najwidoczniej egzystowała brama.

Dlaczego! To jest problem godny socjologów. Trudno w jednym zdaniu zawrzeć historię nieudanego startu wielu rodzin parcelanckich. Na pewno był on utrudniony: brakowało sprzętu, inwentarza, zabudowań. Przede wszystkim jednak wielu nowo kreowanym gospodarzom brakowało umiejętności radzenia sobie z skomplikowanym bądź co bądź warsztatem rolnym. Tu nie wystarczało staranne wykonanie tej czy innej czynności; tutaj wiele rzeczy należało dokładnie obmyśleć.

A więc tak brzmi odpowiedź na pytanie: dlaczego? Nie, to nie wszystko. Chyba powinno się wspomnieć o niedostatku opieki nad tą specjalną kategorią gospodarstw, jaką stanowili nadzieleni ziemią

dawni pracownicy folwarczni. Godziłoby się chociaż dostrzegać niełatwe położenie parcelantów. Tym czasem społeczna klasyfikacja gruntów, przemieniająca w Gnieźnieńskiem za pociągnięciem ołówka piaski w czarnoziem, podcięła egzystencję niejednego, z trudem organizowanego, gospodarstwa.

Cóż, nie brakowało w swoim czasie u nas teoretyków od siedmiu boleści, hołdujących dewizie „im gorzej, tym lepiej”. Miodzi ludzie, wyrastający w dworskich czworakach, które dworskimi być przestały — umieli realnie ocenić sytuację. Im gorzej... tym powszechniej żegnali rodzinne wsie. Szli do przemysłu, na wielkie budowy. Zostawiali kłopot z ziemią na barkach starych nieraz rodziców. I na tej — pochodnej od poprzednich — rachunek przyczyn można by zamknąć.

Tak, tu na pewno kiedyś wisiała brama. Za nią rysuje się niezbyt wyraźny prostokąt podwórza. Niezbyt wyraźny, bo część budynków jest w rozsypane. Chyba nie dźwigną już tych murów brygady remontowe. Mury reprezentują w Pomorzanach przeważnie wartość cegły.

A jednak większość parcelantów nie rzuciła ziemi. Wielu zapłaciło za swe przywiązanie latami ubóstwa. Nieskłonni do inicjatywy, raczej nie ciążyli ku spółdzielczym ideom, choć tu i ówdzie podpisywano statuty, nieraz po to, aby — jak w Pomorzanach — odejść od niego po paru latach. Poczęły się mnożyć wnioski pisane przez ludzi, nie dostrzegających przed sobą przyszłości: wnioski o przejęcie przez Państwo nadanej ziemi.

Wtedy władze powiatowe zdecydowały się na stanowczy krok, wbrew bezpłodnej gadaninie o „unicestwianiu idei reformy rolnej”. W kilku wsiach zwołano zebrania; mówiono tam o rzeczach wielkich i małych, o socjalizmie i zapadłych dachach, o tym, co poruszał ostatnio Gomułka i o czworakach bez podłóg. I o tym też, że rzucić ziemię — łatwo, ale obowiązkiem obywatelskim rolnika jest ją uprawiać.

— To załóżcie u nas PGR! — padała nieraz z gęstwy rozgorączkowanych głosów propozycja. Po czym pytali o zarobki, lekarza, emerytury, przywileje państwowego pracownika. Czy rozpacz dyktowała ludziom podobne słowa? Więc PGR to ostateczność, kres szamotania się w pojedynkę? Tak, to koniec samotnemu stawianiu czoła przeciwnościom. Taką myśl podsuwała trzeźwa kalkulacja.

Mężczyzna, prowadzący za uzdę konia, przygląda mi się apatycznie. Na razie życie w Pomorzanach biegnie jeszcze w zwolnionym tempie. Ruch zaczyna się do-

piero jesienią. PGR-y przyślą wtedy swoje brygady, rozwalą — co nie będzie się nadawało do remontu, co się da — naprawią. Znowu rozlegnie się z jałowników tęskne muczenie bydła, Ziemia doczeka się wreszcie obornika. Na pola wjadą maszyny.

Co zyskują? Co miesiąc stałą płacę. Remonty mieszkań albo i przeniesienie do nowych, jeśli stare na rozbiórkę tylko zdadne. Darmową opiekę lekarską. Na starość — rentę. I to, że ktoś niegłupio zorganizuje robotę. I jeszcze robotę lżejszą (mechanizacja) albo chociaż mniej godzin trwającą.

Więc podjęli decyzję. Sprzedali PGR-om bydło i konie. Sąsiadom — resztę inwentarza żywego i martwego. Od roku, od kilku miesięcy, od kilku tygodni — tworzą już załogi państwowych gospodarstw rolnych. Niewiele tylko odeszło. Jeszcze były zebrania, na których dyrektor Jerzy Małecki z gnieźnieńskiego Inspektoratu PGR tłumaczył ludziom jakie plany ma Państwo wobec ich wsi, czego mogą się spodziewać, jakie maszyny i inwentarz zostaną wprowadzone i kiedy.

10 nowych gospodarstw podjęło
Dokończenie na str. 2

Dzieło społeczeństwa

— Panie Profesorze, zwracam się do Pana — jako do Prezesa Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich — z prośbą o poinformowanie, jakie są najważniejsze osiągnięcia 5-letniej działalności Towarzystwa i na jakich problemach koncentruje się jego uwaga w chwili obecnej?

— Rozwój ziem zachodnich i północnych, znaczne osiągnięcia ostatnich pięciu lat są dziełem przede wszystkim społeczeństwa, które mieszka na tych ziemiach. Są rezultatem jego własnej pracy i wzajemnego współdziałania oraz współpracy z resztą kraju.

Celem działalności TRZZ jest pobudzanie i rozwijanie tej właśnie aktywności społecznej, która umożliwia wszechstronny i prawidłowy rozwój tych ziem jako części organizmu gospodarczego i kulturalnego kraju. Można tu wyróżnić trzy podstawowe dziedziny działalności:

- ▲ umacnianie więzi społecznej na ziemiach zachodnich i północnych,
- ▲ umacnianie więzi społecznej tych ziem z resztą kraju, oraz
- ▲ utrwalanie więzi społeczeństwa ziem zachodnich i północnych z ziemią (czyli: „wzrastanie w ziemię”).

Jak wiadomo, społeczeństwo ziem zachodnich i północnych składa się w małej części z ludności miejscowej i w większości z elementu napływowego o różnorodnym pochodzeniu. Zbliżenie tych grup ludności do siebie, wyeliminowanie wzajemnych uprzedzeń — oto ważne zadanie dla TRZZ, które w tej dziedzinie zrobiło bardzo wiele.

Następne zadanie — to świadome kształtowanie kontaktów między grupami społecznymi ziem zachodnich i północnych a resztą kraju. Przyczyniło się ono do spotęgowa-

nia tego, co nazywamy cyrkulacją gospodarczą i kulturalną całego organizmu Polski. W tej dziedzinie TRZZ ma poważne osiągnięcia, pośrednio wyrażające się w szybkim tempie rozwoju gospodarczego i kulturalnego ziem zachodnich i północnych.

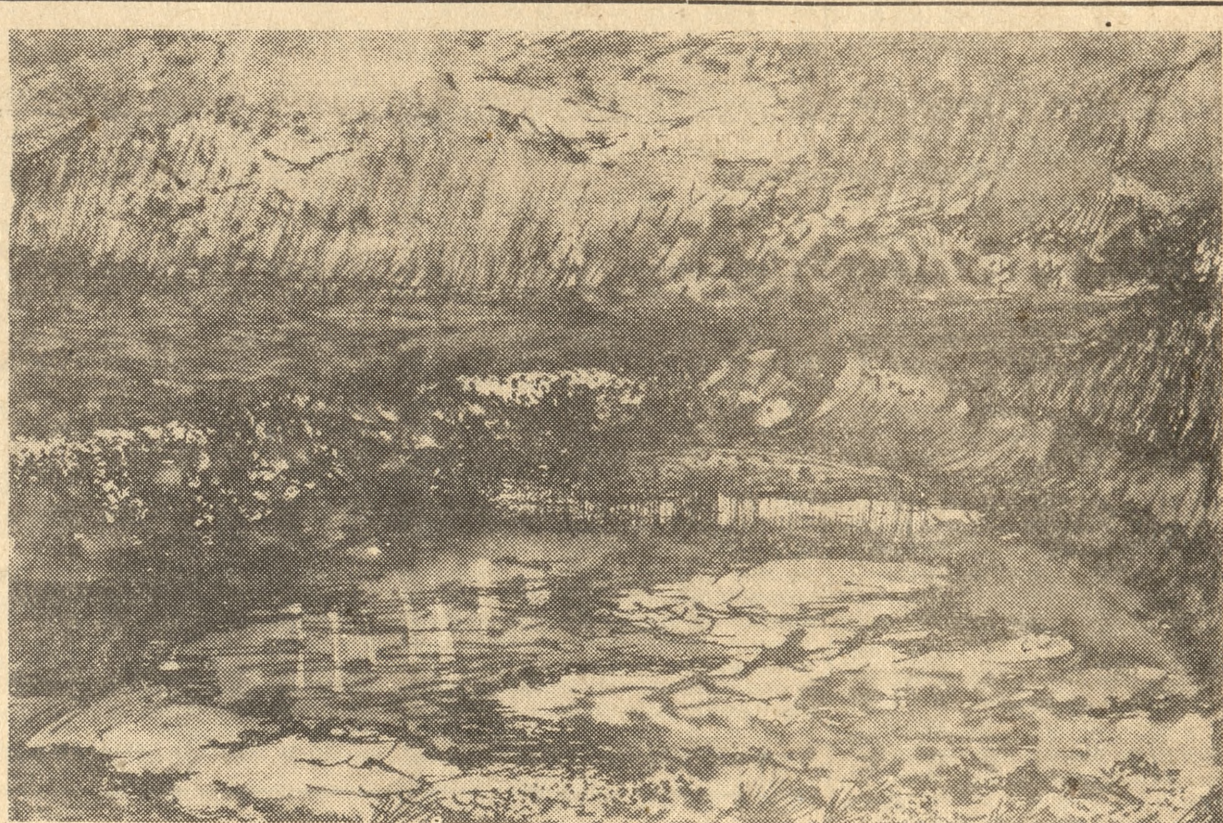
Wreszcie — „więź z ziemią”, związana ściśle z poczuciem własności tych ziem. Aby prawidłowo ocenić problem własności tych ziem, należy pamiętać o podstawowym założeniu, a mianowicie, że ziemia, lasy, rzeki — są wytworem przyrody, natomiast człowiek jest naturalnym właścicielem wszystkich wytworzonych przez siebie wartości. Wątpliwość co do własności ziem zachodnich i północnych można było ewentualnie mieć wtedy, kiedy obszary te były spaloną ziemią. Z chwilą, kiedy stały się one zbiorem wartości wytworzonych przez pracę Polaków stały się własnością społeczeństwa polskiego.

Ziem zachodnich i północnych nikt nie może więc dzisiaj Polsce ani darować ani odbierać. Można by je tylko zrabować, ale na taką ewentualność jesteśmy dobrze przygotowani i nie sądzimy, by ktoś się na taką próbę poważył.

— W lipcu bieżącego roku spotkają się we Wrocławiu działacze polonijni z wielu krajów Europy i Ameryki. Jakie problemy należałoby — zdaniem Pana Profesora — przedyskutować na tej naradzie?

— Zależy nam na tym, aby nasi rodacy z zagranicy ujrzieli problem ziem zachodnich i północnych we właściwym świetle i ażeby utrwalali w społeczeństwach, w których żyją — prawdę, która sprowadza

Dokończenie na str. 2



Sztorm

Rysunek tuszem — Andrzej Jeziorkowski

Włodzimierz Kowanow

Medycy w różnych krajach coraz częściej zadziwiają świat udanymi operacjami dokonanymi na sercu, mózgu, naczyniach krwionośnych. Pojawiają się wciąż nowe metody i aparaty chirurgiczne: sztuczne obniżanie temperatury ciała, aparaty do sztucznego krwiotęgu, aparaty zszywające naczynia krwionośne i tkanki, sztuczne protezy różnych narządów wewnętrznych. Wszystko to stwarza nowe możliwości w dziedzinie chirurgii.

Oddzielny rozdział chirurgii naczyń i serca stanowi problem przeszczepiania narządów i tkanek (kończyn, serca, płuc, nerek, nadnerczy itd.). Lekarze radzieccy N. Sinicyn i W. Demichow opracowali na psach oryginalną metodę przeszczepiania drugiego dodatkowego serca. Najdłuższy okres życia takiego zwierzęcia o dwóch sercach dochodził do 32 dni.

W tym czasie badano czynność obu serc oraz reakcję całego organizmu. Przyczyną śmierci w pierwszych dniach był najczęściej rozwój szoku, w późniejszych zaś okresach — wtórna infekcja i zmiany zachodzące w przeszczepionym sercu, co należy chyba tłumaczyć złożonymi reakcjami obronnymi organizmu, stawiającego opór wprowadzeniu obcej tkanki.

Niemniej ciekawe pod względem teorii są również doświadczenia polegające na przeszczepianiu zwierzęciu dodatkowej drugiej głowy. Druga głowa może samodzielnie istnieć i działać pod warunkiem dostatecznego odżywiania

Chirurgia na pograniczu fantazji

jej poprzez naczynia znajdujące się w szyi. Przyszła głowa przez kilka dni zachowywała się tak jak gdyby nie była odłączona od własnego tułowia: reagowała na bodźce dźwiękowe, bólowe i pokarmowe. Pomimo różnego wieku i różnej rasy psów, w miejscu połączenia tkanek obu zwierząt, skóra zrastała się, tworząc normalną bliznę.

Ciekawe są także doświadczenia przeprowadzone przez N. Pietrową, P. Mazajewą i A. Łapczyńskiego w dziedzinie autotransplantacji kończyn zwierząt. Kończyny po obcięciu wyłączone były z krwiotęgu na okres do 6 godzin. Mechaniczne złączenie naczyń w większości wypadków przywracało krążenie krwi. Po upływie 3—4 miesięcy następowało u zwierząt prawie całkowite przywrócenie funkcji przyszytej kończyny; psy swobodnie biegały i skakały.

Jednak przeszczepiając kończynę jednego psa drugiemu, trwałe przyłączenie nie uzyskano. Najdłuższy okres życia trwał 19 dni. Kończyna w ciągu tego okresu była ciepła, zabarwienie tkanki — normalne, wyraźnie dawał się wyczuć puls. Lecz po upływie 19 dni puls zniknął, kończyna stała się zimna i trzeba było ją amputować.

Bardziej obiecujące są wyniki otrzymywane przy operacjach plastycznych, polegających na przeszczepianiu skóry, tkanek łączących, kości, naczyń, przewodu pokarmo-

wego. Z powodzeniem przeszczepia się rogówkę w wypadkach różnych schorzeń oka, wstawia się nowe odcinki przewodu pokarmowego, otwiera się pęcherz moczowy, dokonuje się plastycznych operacji żołądka, wykorzystując tkanki jelita.

Nie udało się jednak dotychczas osiągnąć trwałego przyłączenia się u człowieka całych narządów: nerek, czy kończyn pobranych od innych, zmarłych ludzi. Lecz idea ta opanowuje umysły eksperymentatorów i chirurgów. Szukają oni sposobów przezwyciężenia niezgodności biologicznej tkanek. Niektórzy uczeni usiłują pokonać tę niezgodność za pomocą sztucznego osłabiania reakcji obronnych organizmu, naświetlając organizm i przeszczepioną tkankę promieniami Rentgena.

O możliwości przeszczepiania prostszych tkanek przekonali się już uczeni na całym świecie. W Związku Radzieckim i wielu innych krajach stworzone zostały tzw. „banki konserwowanych tkanek”. Odbiera się w nich preparowanie i konserwowanie trupich tkanek — rogówek, skóry, kości, chrząstek, naczyń krwionośnych.

Problem przeszczepiania narządów jest dziś naczelnym problemem chirurgii. I można powiedzieć śmiało, że strona techniczna przeszczepiania narządów jest już rozwiązana. Pozostaje jednak jeszcze wiele niejasności w reakcjach organizmu, szczególnie jeżeli chodzi o przeszczepianie narządów z jednego organizmu do drugiego. Lecz i ten problem wspólnym wysiłkiem uczonych całego świata z pewnością zostanie rozwiązany.

Mieczysław Skąpski

POSIEDZENIARZE

Nie o nazwę oczywiście chodzi. Na pewno dałoby się ich nazwać inaczej, dowcipniej i zjadliwiej. Ale przecież rozumiemy się o kogo chodzi — o ludzi, którzy zbyt dużą część swojego czasu pracy spędzają na posiedzeniach, naradach, odprawach, konferencjach, naradach roboczych, posiedzeniach plenarnych, sesjach, sympozjach (uwaga: termin zarezerwowany dla naukowców!), zebraniach, zgromadzeniach, czy... albo dajmy już spokojnie nazwom, bo może wypadłoby zbyt długo ciągnąć ten rejestr rozmaitych słów oznaczających w gruncie rzeczy to samo, lub prawie to samo. Cóż to ludzie potrafią wymyślić, by się samym oszukać, by się przekonać, że biorąc udział w takich samych spotkaniach, jednak nie robią tego samego. Wczoraj byli na sesji, dziś są na posiedzeniu. Ech!

Niestety, na przyzwyczajenia posiedzeniarszy złożyły się lata złych obyczajów. Dziś tym ludziom wydaje się normalne takie właśnie postępowanie, byłoby zdziwieni, a kto wie czy nie oburzeni, gdyby im ktoś zwrócił uwagę, że nietaktem jest zapraszanie na naradę powiedzmy profesora uniwersytetu bez uprzedzenia go do którejś narady potrwa. Napisałem profesora, ale prawdę mówiąc sprawa dotyczy każdego innego obywatela.

Ludzie wzrosli w określonym klimacie, nikt ich potem nie pouczył, że skończył się pewien okres, a zaczął inny, że trzeba skończyć z an-

nimowością kolegiąlnych decyzji w nieistotnych sprawach, bowiem chroni ona nieraz, jak parawan przed odpowiedzialnością. Czas wprowadzić nowe, bardziej racjonalne metody pracy, polegające przede wszystkim na oszczędności czasu, jako tego dobra, którego ani nie można wytworzyć na zapas, ani zakumulować, ani wytwarzać szybko, ani wolniej, jest nam tylko raz dany, przeto każda miniona godzina jest stracona bezpowrotnie. Żadna siła błądzącego czasu nie odwróci. A więc rzecz w tym, by czasem gospodaryć racjonalnie.

Rozsądek — niezłym doradcą

Nie zdają się tego rozumieć posiedzeniarsze. Dziwne, bo ostatecznie zwykły zdrowy rozsądek może być w tej dziedzinie niezłym doradcą. Mamy też przykłady społeczeństw rosnących w warunkach bynajmniej nie łatwiejszych od na-

W poszukiwaniu straconego czasu

szych, które przecież tak czasem nie szafują.

Opowiadał mi pewien naukowiec, który przebywał niedawno w Chinach i uczestniczył tam w kilku naradach. Otóż podawano tam już w zaproszeniu nie tylko godzinę rozpoczęcia, lecz także zakończenia narady i twarde się tych terminów trzymało. W związku z tym, po zagajeniu czy wygłoszeniu referatu dzień liło się czas pozostały przez liczbę zgłoszonych mówców i na każdego wypadła określona liczba minut. Trzeba się było w takim limicie czasu zmieścić. W ten sposób można sobie planować dzień pracy. Wiem bowiem, że idę do instytutu X na konferencję, która potrwa od godziny 10 do 13, więc już na 13,30 mogę się ewentualnie umówić gdzieś indziej. Niech mi ktoś pokaże u nas zaproszenie na konferencję z określonym czasem jej zakończenia. Nie ma takiego zwyczaju. Idziesz bracie na naradę to de facto cały dzień na nią rezerwujesz, bowiem Bóg raczy wiedzieć kiedy się ona skończy.

A ileż to marnuje się czasu na rozmaite ceremonie, również relikty z minionych lat, nienajlepsza ze spuścizny.

Oto odbywa się Konferencja Samorządu Robotniczego w zakładach Y. Zagajenie, potem powołanie prezydium. „Proszę obywatela dyrektora o zajęcie miejsca za stołem prezydyalnym”. Burza oklasków. Powołany kroczy przez salę po woli a dumnie, oklaski huczą, a ten rośnie, prostuje się, przeży. Wreszcie zasiada. „Proszę do prezydium towarzysza sekretarza”. Burza oklasków. Znowu marsz do stołu, cały czas w gorliwej brawie. Powtarza się to kilkanaście razy, aż wszystkie miejsca przy stole zostaną zajęte.

Umiejętnie wyreżyserowane może to trwać kwadrans i więcej. Pomnożyć to przez kilkudziesięciu lub kilkuset ludzi siedzących na sali, a otrzymamy niezłą porcję straconego czasu. A przecież nie mamy w tym wypadku do czynienia z żadną uroczystą akademią, a z typową roboczą naradą produkcyjną. Taki bowiem mają mieć charakter zebrania samorządu robotniczego, a nie

charakter odświętnej galówki, gdzie wszystko będzie bezproblemowe, wszystko uroczyste, wszystko cacy-cacy.

Niepunktualność i gadulstwo

Zupełnie odmienną sprawą jest punktualność rozpoczynania narad. Zwykle tak zwany akademik ki kwadrans przeciąga się do pół godziny.

Czasem dłużej bo Bardzo Ważna Osobistość jest jeszcze na innej naradzie i trzeba poczekać aż tamta się skończy. Mści się tu właśnie nieokreślenie terminów zakończenia zebrań. Osobistość przy puszczała, że trzy godziny na tamtą naradę wystarczy (bo u nas można jedynie przypuszczać w tych sprawach), i po myśli się w przypuszczeniach. W rezultacie druga narada spóźniła się o godzinę, albo też rozpoczęła punktualnie, ale Bardzo Ważna Osobistość przybyła na nią w połowie i nie bardzo wie o co chodzi.

Wreszcie trzeba powiedzieć o panoszącym się na zebraniach gadulstwie.

Zwykle dyskutant uważa za stosowne pouczyć zebranych, że uważnie wysłuchał przemówienia wstępnego. Wobec tego powtarza główne tezy tego przemówienia, popiera je i jeszcze raz uzasadnia ich słuszność, po czym dopiero, na końcu, krótko wyciąga jakieś konstruktywne wnioski praktyczne. Dobrze, jeśli w ogóle z jakimiś wnioskami wystąpi, bo bywa i gorzej. I znowu usprawnienie toku obrad powinno iść w tym kierunku, by zabraniać powtarzania się odbierać takim pozął się Boże dyskutantom, głos, przyzwyczajając ludzi do mówienia tylko wtedy, gdy chcą i mogą wnieść do sprawy coś nowego.

Głędzić można sobie w kawiarni, gdzie ma się rozmówców i słuchaczy dobrowolnych i w małej ilości, ale nie na wielkich salach wobec audytorium licznego i zebranego na zasadzie wypełniania obowiązków służbowych.

Kropla w morzu

Od pewnego czasu widać w tej dziedzinie poprawę. Nowe, bardziej racjonalne metody prowadzenia zebrań lansuje przede wszystkim partia. Ważniejsze zebrania partyjne odbywają się bez odczytywania zasadniczych referatów, które uprzednio wydrukowane lub powielone znane są uczestnikom wcześniej. Z góry wyznacza się tam limit czasu dla dyskutantów. Jest to jednak kropla w morzu potrzeb. Nadal bowiem mamy zebrania za dużo, za długich, grzeszących niepunktualnością, rozgadanych. Nie można się więc dziwić, że w efekcie dla wielu ważnych spraw, pilnych prac, rzeczywiście odpowiedzialnych zadań brakuje czasu. Wykonywane na przedwieczną wieczność terminów przynoszą mierne rezultaty, a czasami, wskutek w istocie niezawinionych błędów, także niepowetowane straty.

Ale to już jest normalne. Skoro czasu nie można rozciągnąć do woli, zmarnowane w jednym wypadku godziny muszą być nadrobione, zaoszczędzone w innym. Często tam właśnie, gdzie były najpotrzebniejsze. Niechże niepoprawni posiedzeniarsze wezmą sobie te uwagi do serca. W interesie nas wszystkich.

Bogdan Dohnke

Turystyczny rozbiór Wielkopolski

Człowiek jest niewolnikiem mody i nie ma chyba takiej siły, która potrafiłaby się temu przeciwstawić. Na szczęście w modzie są zjawiska dobre i złe. Jest niedobrze, kiedy każe nam się nosić sztywne kołnierzyki i piekielnie palące czarne lakierki. Modzie trzeba jednak przypisać na plus wypędzanie ludzi z zadymionych miast na łono natury. Temu najmłodszemu zjawisku ostatnich czasów — masowej turystyce — chcielibyśmy poświęcić nieco miejsca.

Nie jest tajemnicą, że wczasy FWP przestały być w pewnym sensie atrakcyjne dla ludzi obdarzonych rodziłą. Stosunkowo wysokie opłaty za „osoby niezwiązane” i bardzo niewielka liczba domów przeznaczonych na wczasy rodzinne zmusiły mniej zamożnych do szukania taniego i dobrego wypoczynku w okresie urlopowym. Zakłady pracy sypnęły złotówkami, stolarze zabrali się do zbijania domków, a co bardziej oblatani w pięknych okolicach „lokalizowali” ośrodki campingowe.

Casus Skorzęcin

W myśl zasady „jakoś to będzie” zupełnie nie zwracano uwagi na takie drobiazgi jak prąd, woda do picia, wyżywienie. Jak grzyby po deszczu wyrastały kolony campingowe. Wystarczył kawałek plaży nad wodą pod lasem a już zakład czy związek rozwijał swój kramik. Tak powstały całe miasteczka campingowe. Bez planu, bez zabezpieczenia najelementarniejszych nawet wymogów higieny i bezpieczeństwa.

Najbardziej jaskrawym przykładem, urastającym niemal do symbolu żywiołowości w rozwoju campingu jest Skorzęcin w powiecie gnieźnieńskim. Na 7,5 hektarach lasu zbudowano ponad 260 domków, w których zamieszkuje latem ponad 1.600 osób. Na tym całym terenie nie ma doświadczenia ani jednej pompy z wodą zdatną do picia, ani jednego skanalizowanego szaletu, ani jednej przyzwoitej jadalni. Część domków podpatrzona chyba z zagranicznych magazynów, doskonale nadaje się na weekendy (na spędzenie w nich jednej albo dwu nocy) ale w żadnym wypadku nie może być mieszkaniem dla człowieka odpoczywającego z rodziną dwa albo więcej tygodni. Małeńkie oszczędnościowe budki, w których wyprostować się nie może człowiek średniego wzrostu są chyba nieporozumieniem.

To piękne wczasowisko stało się poważnym sygnałem ostrzegawczym. Z jednej strony pokazało jak wielkie jest zapotrzebowanie na tego rodzaju najprostsza formę turystyki, z drugiej zaś zmusiło do natychmiastowego działania w kierunku planowej polityki. Nie można dopuścić do improwizacji w rozwoju turystyki, do czegoś, co szkodzi zamiast pomagać w wypoczynku. Problem samego Skorzęcina, aczkolwiek późno, zostanie jeszcze przed-

tegorocznym sezonem w poważnej części rozwiązany. Przyznanie radzie użytkownikom dalszych 7,5 ha lasu umożliwi przeniesienie części domków, będzie prąd, hydrofornia, dwie stołówki na 350 obiadów każda, poszerzona zostanie droga dojazdowa.

Każdy sobie...

Podobnie rozwijały się inne ośrodki. Dochodziło do takich paradoksów, że im bliżej miasta, tym bardziej niebezpieczne stawały się dla jego mieszkańców. Każdy zakład miał ambicję ulokowania swego poetka jak najbliższej wody, posiadania własnej plaży. Kupowano więc, bądź dzierżawiono ziemię i stawiano ploty. Przecież w Kiekrzu pod Poznaniem, gdyby w porę nie sprostęgła się Rada Narodowa, niedzielnymi wczasowiczami nie mieliby nawet gdzie nogi zamoczyć, bo nie byłoby dostępu do jeziora. Plot przy płocie, a na bramie wjazdowej tabliczka, z której wynika, że obcy nie są raczej mile widziani. Temu turystycznemu rozbiorowi najbardziej malowniczych zakątków Wielkopolski trzeba było wreszcie położyć kres.

Zanim powstanie nowy ośrodek musi być najpierw plan zagospodarowania. Trzeba uzyskać środki finansowe i rzeczowe a potem można zacząć budowę wczasowiska. To jest na pewno słusne i potrzebne, ale każdy kij ma dwa końce. Wiemy doskonale jak wiele czasu potrzeba na dokumentację, zatwierdzenie, uzgadnianie etc. A ludzie się niepoją, chcą już, zaraz się urządzić. Mogła wytworzyć się sytuacja, że przez najbliższe lata będziemy jedynie planować. Mogła, ale tak nie będzie. Kilkanaście istniejących ośrodków zostanie najpierw prawidłowo zagospodarowanych co pozwoli na ich dalszą rozbudowę. W tym samym czasie przystąpi się zgodnie z ogólnowojezdowym planem inwestycji turystycznych do budowy dalszych.

Następne z głową

Poza Sierakowem i częściowo Boszkowem — ośrodkami z prawdziwego zdarzenia, zabezpieczającymi niemal wszystkich potrzebujących wczasowiczów, pozostałe mają poważne braki wymagające milionowych nakładów. Ostatnio wiele się mówi o nowym miejscu wypoczynkowym dla mieszkańców wielkopolskiego zagłębia węglowego. Wybór padł na Slesin. Smutne doświadczenia lat ubiegłych nie mogą się tu powtórzyć. Kopalnia ma pieniądze, chce natychmiast przystąpić do stawiania domków, ale program zagospodarowania tego terenu nie został jeszcze ostatecznie zatwierdzony, w związku z czym nie można jeszcze przystąpić do stworzenia bazy, a bez tego nie wolno już tworzyć ośrodków campingowych. Potrzeby wymagają wprowadzenia zwiększenia tempa, ale żywiołowe tworzenie nowych miejsc wypoczynku jest tylko połowicznym rozwiązaniem, psującym krew przez wiele lat, jak sławetny już Skorzęcin.

kałafrozizmu, ową tonację gniewnych i dosadnych sformułowań, owo wreszcie przewijające się na jakąś satyryczną nutę w tym zbiorze przywołanie śmierci. Tak, na przekór wszystkim i wszystkiemu, z uporem i ufnością w życie brzmiał „Śmierci don Kichota” zamykający tom wierszy „Genealogie”, piękny, głęboki, jeden z najlepszych w tym zbiorze.

Tomem tym postawił Bogusław Kogut krzyż się, don Kichotowi, narwanemu idealistom. Tom ten jest bliskim samouświadomienia poetyckiego. Odkrywa prawdę prostą, lecz zarazem najtrudniejszą do urzeczywistnienia. Tematem zainteresowania poetyckiego byłoby i być powinna istota ludzka, pokład jej uczuć i przeżyć. „Od tego trzeba zacząć”. I nie jest to tyle uwaga pod własnym adresem, co polemika ze współczesnymi „mechanizatorami” poezji.

Bo przecież w zbiorze „Śmierci don Kichota” Bogusław Kogut kontynuuje tę samą linię programową, którą obrał na początku swojej twórczości. Kondensuje jedynie słowa, bogaci metaforykę, pogłębia swoje poetyckie widzenie świata. I to jest bodaj największa zaleta jego wierszy i zarazem największa satysfakcja dla czytelnika, który w utworach Bogusława Koguta znajduje odczucia zwykłych ludzi dnia dzisiejszego.

Rozmyślania o literaturze

Wydawnictwo Poznańskie wydało w roku ubiegłym trzeci już tom wierszy Bogusława Koguta. Tom pierwszy nazywał się „Dom ocalony” i wydany został w roku 1953. Tom drugi, zatytułowany „Kamienie w bruk”, wydało Wydawnictwo Poznańskie w roku 1957. Jako poeta Bogusław Kogut nie pojawiał się często, ale przecież w ciągu tych ośmiu lat, jakie dzielił tom pierwszy od ostatniego, Kogut wydał także pięć tomów prozy, nie licząc publicystyki.

Wszystkie zebrane dołąd w tomikach wiersze Bogusława Koguta są utworami lirycznymi. Więcej też w nich informacji o charakterze i osobie autora, niż w jego powieściach czy publicystyce. Tak już jest, że w liryce ujawnia się najwyraźniej cały bagaż biografii pisarza i narastania doznań, nawet wówczas, gdy poeta nie chce o tym informować czytelnika. Kogut należy do tych twórców, którzy nie ukrywają stanu swych uczuć, i nie woalują niczego ze swoich rozterek i przeżyć.

Każdy więc z jego zbiorów wierszy utworzony został z innych barw, każdy

Feliks Fornalczyk

Poezja Bogusława Koguta

prezentuje inny odcień lirycznych wyznań. Tom pierwszy, „Dom ocalony”, zawierał chyba najmniej wątpliwości — był wyrazem dużej pewności przekonań i dążeń autora, który nie przeżywał obaw, był pod urokiem zewnętrznych sukcesów świata, w którym poeta brał czynny udział i całkowicie go opracował. „Dom ocalony” stanowił więc rodzaj pamiętnika lirycznego, w którym młody debiutujący poeta, nie dobierając słów, zwierzał się ze swadą ze swych wspomnień i doraźnych spostrzeżeń.

Drugi z kolei tom wierszy Koguta, „Kamienie w bruk”, który przypadł na rok 1957 i rozwijał poetycko te wszystkie oznaki zaangażowania, jakie znalazły wyraz w „Domu ocalonym”, przemiął bez większego echa na literackiej giełdzie. Nie dziwiła, ten rodzaj zaangażowania nie był w tym czasie w zbyt dużym poważaniu. W „Kamieniach w bruk” objawiło się jednak nie tylko zaangażowanie, ale i głębsza refleksja nad zjawiskami współczesnego świata, i szerszy zakres dostrzeganych problemów, i wreszcie rozterki, wątpliwości pokolenia „pryszczących”, do którego

rych się przecież Kogut zalicza, a także gwałtowne poszukiwanie innych form wypowiedzi poetyckiej.

Tom „Kamienie w bruk” był zresztą zbiorem wierszy, pisanych w ciągu dłuższego okresu czasu, w okresie, kiedy ujawniały się dopiero pierwsze wielkie modernistyczne poetyki. Ale na to nikt nie uważał już za stosowne zwracać uwagi. Czas był niespokojny, ludzie niecierpliwi, zaintrygowani przemianami o większym znaczeniu, niż jakiś tam zbiorek wierszy.

W czwartym roku od tamtych chwil wyszedł nowy tom wierszy Bogusława Koguta, „Śmierci don Kichota”. Tytuł, w ukazaniu dopiero co kontekście, wyśtażając się tłumaczycy. Ten narwany idealista hiszpański ze słynnej powieści Cervantesa, to nie kto inny, jak właśnie autor tomiku. Zawarte zaś w tomiku wiersze nie są niczym innym, jak próbą pokazania wszystkim, że i on potrafi pisać na współczesną modłę. Ze jego rogata dusza potrafi się zdołać na dowody odporności i konsekwencji.

Bo tak tylko mogą odczytać ów narzuconego sobie przez poetę

Rozmawiał:

Jan Kałarkiewicz

DECYZJA

Dokończenie ze str. 1

w powiecie gnieźnieńskim pracę. Ziemię, której sporo leżało odłogi, uprawiają ci sami, którym w pojedynkę trudno było stawić czoła problemom, jakie niesie z sobą współczesne rolnictwo. Nowe załogi PGR-owskie sprawują się dobrze. Tym lepiej, im więcej widzą w swoim obecnym zmian: wyremontowanych dachów, nowych podłóg, murów budowanych obór czy chlewni, maszyn i inwentarza. To dodaje chęci do życia.

Kończąc spacer po Pomorzanach. Wkrótce i tu w ludzi wstąpi nowy duch. W Gnieźnieńskim znalazł się realna droga zagospodarowania części zaniedbanej ziemi. Stworzono zarazem wielu ludziom możliwość drugiego startu.

1) Powiat gnieźnieński.

2) Nie więcej niż 15 proc.

PIOTR ŻYCKI

Konkurs Czytelniczy Głosu Wielkopolskiego i Domu Książki

Fragment nr 1

„Znów uliczka, oto aptekę wonieje gmach wojskowego szpitala. Le-ciućko, lecz czuje. Musieli wiele okien otworzyć. Chodnik tutaj szeroki jak na placach. Przyjemnie się idzie choć z tego zakątkiem nie miłe wspomnienie. A raczej różne wspomnienia, są niemiłe, są też jaśniejsze. Cały łańcuch wspomnień. Nie mówiłem nic o tym Agnieszce. Przejeżdżała się na pewno. Może by fuknęła, jak to ona, szorstko, z życzliwością: „Z tobą tak zawsze. I po co tam łazisz?” A ja sobie myślę: czegoż się złościć, kiedy się wszystko dobrze skończyło? A resztą to już stare, przebrzmiałe dzieje.

Było to zaraz za szpitalem, przy Sniadeckich. Zazwyczaj rower na asfalcie słyse. Syczą oponami jak rozłoszczony wąż. Ale wtedy na Grunwaldzkiej ruszył traktor. Nie wiecie, co to kłopot traktora dla niewidomych. Naraz cały świat ginie. Zostaje tylko łoskot, warkot i szum. Nic więc w tym nie polapiesz. Podobnie bywa, gdy dmie silny wiatr, gdy się deszcz rozpada. Ociemniały o najlepszej orientacji staje bezradny jak sowa w słońcu. O właśnie, dobrze rzekł. Każda sowa musi mieć swoją noc.”

Fragment nr 2

Zaręba: Gdy margrabiowie się dowiedzą, że dziedzictwo po Mszczuj na księcia przechodzi, kły pokażą.

Ludgarda: Księżę wie, co czyni.

Zaręba: Księżę burzę na Wielką Polskę sprowadzi, zapewne nieświadom zła, które na naszą ziemię spadnie, gdy w pomorskie sprawy mieszać się będziemy.



Ludgarda: Księżu staranie o to zostawcie.

Zaręba: Księżę nie pierwszy raz zaczepkami margrabiów drażni. Przed dwoma laty Santok w krwi utopił.

Ludgarda: Polski Santok, kasztelan, Askańczykom odebrał, krwi swojej i żołnierskiej nie szczędząc. Księżę niebezpieczeństwo z brandenburskiej strony wietrzy. On ziemię lubuską i jeziora lubuskie kocha. Każdy rodzi się ze swoim krajobrazem. To jego krajobraz. Zachodnie niebo (po chwili). Wy księcia nienawidzicie.

Zaręba: Sprawiedliwie go oceniam.

Fragment nr 3

Marek stłumił oddech i pomyślał, że oddział musi już być daleko, na drugim brzegu rzeki.

„Znów się trzęsę. Zaczyna się od nowa” — pomyślał. Nie było mu zimno. Od leżenia nie czuł już ramion, ani nóg. Usiadł i wbił wzrok w otwarte wrota.

Drżały mu nozdrza. Podniósł ręce do twarzy, był zły, potem. Koszula przykleiła mu się do ciała.

Zdawał sobie sprawę, iż nie będzie dla niego powrotu, że coś zabijał sam w sobie na zawsze. Wstał i podszedł do wrót stofooty. Noc zasłaniała świat. Zobaczył Mleczną Drożę, która smugą nikłego światła nie rozpraszała mroku nieba.

— Nie będę odważny.

Patrzył na gwiazdy, uparcie powtarzając:

— Głupi kot, głupi kot, głupi... głupi kot...”

Fragment nr 4

— Wieczorem idziemy do wadi?

— Do jakiego wadi? — kapral ożywił się widocznie — nic nie mówię. W ogóle mało gadasz. Znalazłeś coś ciekawego?

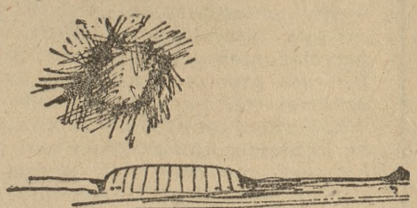
— Agfar-wadi, rozumiesz, Agfar-wadi, z osiem mil stąd na północ-zachód. Tam jest schron po Niemcach. Tamteży pewnie ciągnęli linie obronny. Może to nie linia, a odosobniony posterunek, nie wiem, nie mnie to nie obchodzi. Jest bunkier, można posiedzieć.

— Jak myślisz, kiedy uderzy Monty?

— Chciałbym, aby zrobił to przed tygodniem.

— Może już ruszył, z tej odległości niewiele słychać, co się tam dzieje.

— Nawet sto mil poza linią się wie, że hula takie natarcie. Czuć je w powietrzu.”



Fragment nr 5

Koło szkoły, na wprost ugoru Pa-gowskiego, Szalek zatrzymał konwój. Naradził się krótko z kompanami i zdecydował: aresztowanych odwiezie Tomczyk, chyba sobie da radę z dwoma rozbitkami i furmanem, który na kozaka nie wygląda. Oni w pięciu będą polować na pozostawionych.

W związku z Dniami Oświaty, Książki i Prasy „Głos Wielkopolski” wespół z „Domem Książki” organizują wielki Konkurs Czytelniczy. Celem konkursu jest zbliżenie Czytelników do twórczości pisarzy mieszkających i pracujących w Poznaniu, jak też zorientowanie się w upodobaniach i pragnieniach odbiorców słowa artystycznego.

Oddział poznański Związku Literatów Polskich zrzesza 32 członków (listę ich podajemy). Nie mając możliwości uwzględnienia w naszym konkursie wszystkich autorów, wybraliśmy z utworów 10 pisarzy fragmenty bardziej popularnych ich dzieł. Rzeczą uczestników konkursu jest określić, który fragment pochodzi z jakiej książki, jakiego autora.

Poniżej publikujemy w porządku alfabetycznym nazwiska 10 pisarzy i tytuły ich książek, z których wybraliśmy publikowane obok fragmenty konkursowe:

Roman Brandstaetter — „Przemysław II”
Przemysław Bystrzycki — „Śmierć nad Agfar-Wadi” (opowiadanie tytułowe)
Ryszard Danecki — „Twarzy odwracanie”
Arkady Fiedler — „Dziękuję ci, kapitanie”
Gerard Górnicki — „Śmierć kota” (z opowiadania tytułowego)

stałych buntowników. Wprawdzie Ostrowity radził, niech z Tomczykiem jeszcze ktoś jedzie, ale Tomczyk sam oponował:

— Po co? Już ja ich sam odstawię.

Stefan Łęcina pojechał dalej, wioząc Tomczyka i dwóch aresztantów.



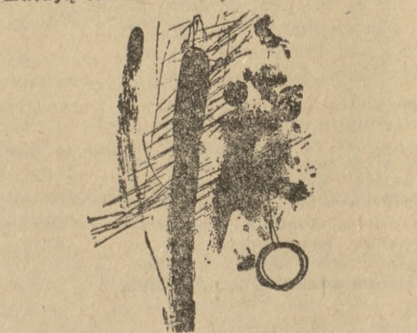
Szałek ze swoimi zawrócił. Poszli do Antka Swiruckiego. Ale tutaj zastał chatę pustą, zamkniętą na kłódki i skoble. Obeszli ją parę razy wokół, postukali kółkami do drzwi i niskiego okna, krzyżując: — Wyłazcie, chamy zbuntowane.

Ale chamy zbuntowane nie wyłazili, bo ich już dawno w chatę nie było. Kłóli się, szepotali, aż sobie brodę opłuli przez dziurawe zęby. Ale w końcu machnął ręką:

— Sam przyjdzie ptaszek do klatki. Nie będą chamy dzień i noc w polu siedzieć.

Fragment nr 6

NA TRZCINCE SUCHEJ...
Na trzciniecze suchutkiej, kruchej jak wosk, powiesiłam kółeczko, mój własny los. Latają siwe wróble,



los mój chwiejący się skubią. Ziarenka czyste, puszyste, szkliste krążą tam wieczyste, kółeczka, i rosną na wiosnę dokoła jagody, a jesienią opadają liście...
...Na trzciniecze suchutkiej — okrągły pierścionek, nie cięższy niż jagoda, nie większy niż dzwonek.

Fragment nr 7

Powoli, powoli, twarz jej zalewał rumieniec. Pochyliła głowę.

— Mario, jesteście dorośli... Okiń-czyć był bezradny, stykał się w życiu z niejednym, ale były to wyraźne określone historie. Pani przypadek był co najmniej skomplikowany. Ten człowiek bardzo panią kocha. Ludzie jego pokroju nie potrafią inaczej. Wiedział, że może do mnie mieć zaufanie...

— Ale zgodzi się pan, że właśnie po tej nocy Pola uciekła.

— Mała była perfidna, nie ukrywajmy tego przed sobą, choćby ta

Kazimiera Hłakowiczówna — z tomu „Wiersze wybrane”
Bogusław Kogut — „Zbuntowani”
Eugeniusz Pauksza — „Wszystkie barwy codzienności”
Leszek Prorok — „Krewniacy” (z opowiadania „Biała laska”)
Aleksander Rogalski — „Dramat naszego czasu”, szkice o kulturze i cywilizacji.

Na załączonym kuponie uczestnik konkursu winien podać — obok nazwiska autora i jego książki — odpowiedni numer publikowanego fragmentu.

Jednocześnie odpowiedzieć należy na dwa pytania dodatkowe. W odpowiedzi na pierwsze pytanie uwzględniać należy nazwiska wszystkich członków poznańskiego oddziału ZLP, a nie tylko wymienionych w konkursie. Oto wykaz nazwisk członków Związku Literatów w Poznaniu:

Kazimierz Bieronicki, Roman Brandstaetter, Przemysław Bystrzycki, Ryszard Danecki, Arkady Fiedler, Feliks Fornalczyk, Gerard Górnicki, Maria Gwizdałska, Stanisław Hebanowski, Zbigniew Herbert, Kazimiera Hłakowiczówna, Stanisław Kamiński, Wanda Karczewska, Bolesław Kogut, Jerzy Koller, Jerzy Korczak, Tadeusz Kraszewski, Amelia Łączyńska, Czesław Michniak, Janina Morawska, Eugeniusz Morski, Egon Naganowski, Franciszek Kirlo-Nowaczyk, Eugene

cała obrzydliwa historia ze sfingowaną ciążą. A ta noc? Zobaczyła, że pani wyszła, domyśliła się wszystkiego. Ucieczka jej była ostatnim posunięciem w tej brzydkiej grze. Znała pani, wiedziała, że może to poskutkować. Jak dotąd świetnie się jej udało.

— Zawsze starałam się być dla niej dobra. Dla czego ona?

Wzruszył ramionami.

— Na to już nie odpowiem. Może była pani właśnie za dobra. To także niebezpieczne.

— Za dobroć płaci się przecież dobrocią.

— Zazwyczaj, ale nie zawsze. Może panią to dotknie, ale trzeba postawić kropkę nad „i”. Pola miała zły charakter. Jedyna bodaj w całej waszej rodzinie. Tak się zdarza. Są różne charaktery, zdarzają się, nie wiedzieć skąd, także i złe. Jeszcze jedna barwa codzienności, żeby nie była zbyt mądra. Obok jasnych kolorów, czystych, także ciemne i zamazane.”

Fragment nr 8

PRZEMIJANIE

od ściany ku oknu

od ram fotografii
w krajobrazu ogrom
od sufitu granic
w nieba gwiazdny bezkres

od faktów do marzeń
od byleś ku będziesz

odwracanie twarzy



Fragment nr 9

To, co tkwiło w głębi katolicyzmu niemieckiego, wystąpiło bardzo silnie w okresie pierwszej wojny światowej i na jego powierzchni zatrzymało się do dziś dnia: skażenie militarystycznym i nacjonalistycznym. Przejaw owoego skażenia raniły głęboko poczucie moralne katolików innych krajów, tak jak raża nas bolesnie niezgodne z Ewangelią szowinistyczne wystąpienia obecnych przedsta-

nuszu Pauksza, Zbigniew Pędziński, Jadwiga Popowska, Leszek Prorok, Józef Ratajczak, Aleksander Rogalski, Bogdan Rutha, Bronisława Steinowa, Andrzej Zeyland.

Wśród Czytelników, którzy trafnie rozwiązały zadania konkursowe i odpowiedzą na zamieszczone na kuponie pytania, rozlosowane zostaną następujące nagrody:

I Bony „Domu Książki” na 1000 zł oraz zestaw 10 książek autorów poznańskich wraz ich dedykacjami.

II Bony „Domu Książki” na 750 zł oraz zestaw 7 książek poznańskich autorów (z dedykacją).

III Kupon „Domu Książki” na 500 zł oraz zestaw 5 książek poznańskich autorów (z dedykacją).

IV i V Kupony „Domu Książki” na 250 zł każdy, oraz zestawy po 3 książki poznańskich pisarzy (z dedykacją).

VI—XV Wartościowe książki.

Bony książkowe można zrealizować według własnego wyboru w każdej księgarni!

Odpowiedzi na kuponach konkursowych należy nadsyłać do 25 maja br. pod adresem redakcji „Głosu Wielkopolskiego” Poznań, ul. Grunwaldzka 19 z załączeniem na kopercie „Konkurs Czytelniczy”.

wicieli katolickiego Kościoła w Niemczech zachodnich. I dlatego istnieje duże podobieństwo między sytuacją katolicyzmu niemieckiego z okresu pierwszej imperialistycznej wojny światowej a sytuacją dzisiejszą tegoż katolicyzmu, kiedy to potężniejszy i groźniejszy jeszcze niż dawniej imperializm czyni wszystkim celem rozpadania trzeciej z kolei wojny światowej.

Nie będę tu rozwodził się szeroko nad wszystkimi przyczynami tego skażenia, wszystkimi jego źródłami. Dość, że zaznaczyć, iż militarystycznym i nacjonalistycznym zatruć był w ogóle cały klimat moralny epoki bis-

marckowskiej i wilhelmskiej. Tak syny przeniknęli również do organicznej społeczności katolickiej — trzeba podkreślić — bez większego oporu z jego strony: czasy biskupa Kettlera i Windthorst minęły już bezpowrotnie!

Fryderyk Wilhelm Förster, rządk przykład czystego chrześcijanina niemieckiego, zwalczany namietnie zarówno przez protestantów, jak i przez katolików niemieckich, w przejmujących słowach opisuje stopniowe i gwałtowne zatrucie atmosfery duchowej swej generacji entuzjazmem dla wojny i pychą narodową, szerszymi przez niemieckich potentatów przemysłowych, arystokrację ziemską, koła rządowe i wojskowe oraz przez uniwersytety o połowy XIX wieku. Förster wskazał jednocześnie na przemożną rolę, jaką w tym zakresie odegrał Heinrich Treitschke, którego katolicka encyklopedia niemiecka Herdera w wydaniu z roku 1930 określa m. in. jako głowę politycznej pruskiej historiografii, jako bojownika idei państwa mocarstwowego oraz jako uśpianego pisarza!

Fragment nr 10

„Wtem podeszła korweta pod „Pro-sne” i dowódca jej zapytał, czy statek czego nie potrzebuje i czy wszystkich zabral rozbitków.

— Wszystkich — meldował kapitan Czarniecki przez megafon. — 54 ludzi, w tym 16 Brytyjczyków, reszta Chińczyków. Dwóch rannych. Brak starszego oficera i trzech Chińczyków, którzy zginęli podczas wybuchu.

— Well done, captain! — odpowiedział dowódca okrętu z uznaniem i przy tej okazji pochwalił się, że korweta miała również niezłą zdobycz: 52 niemieckich jeńców z zatopionej łodzi podwodnej.

Wówczas jeden z polskich marynarzy dostał mianackiego pomysłu i chciał mieć Niemców na „Prośnie”. Zadał wymiany ich na rozbitków



brytyjskich. Uczepił się tej myśli jak pijany płotu, jak opętany, i w końcu nie wiedziawszy, żartuje czy nie żartuje. Noc była niebezpieczna dla nerwów i statków.

W salonie „Proсны” ulokowano kilku oficerów z tankowca oraz urządzono stację opatrunkową. Jeden z Chińczyków, stary bosman, odniósł tak fatalne oparzenia, że była obawa o jego życie. Zupełnie wyczerpany, z twarzą zniekształconą, niezdolny poruszać się o własnych siłach, biedak zdawał się godzić apatycznie z przeznaczeniem. Właśnie zakładano mu opatrunki. Kapitan zajrzał do salonu. Gdy Chińczyk go zobaczył i poznał, powstał, ku zdumieniu obecnych, na bezwładne nogi i roztrzęsiony, nagle odezwał się do niego głosem drżącym ze wzruszenia:

— Thank you, capt'n, thank you!..

KUPON KONKURSOWY

Fragment nr	Autor	Tytuł dzieła
	Roman Brandstaetter	„Przemysław II”
	Przemysław Bystrzycki	„Śmierć nad Agfar-Wadi”
	Ryszard Danecki	„Twarzy odwracanie”
	Arkady Fiedler	„Dziękuję ci, kapitanie”
	Gerard Górnicki	„Śmierć kota”
	Kazimiera Hłakowiczówna	„Wiersze wybrane”
	Bogusław Kogut	„Zbuntowani”
	Eugeniusz Pauksza	„Wszystkie barwy codzienności”
	Leszek Prorok	„Krewniacy”
	Aleksander Rogalski	„Dramat naszego czasu”

a) Jakich 3 spośród pisarzy Poznania zaliczasz do swoich najulubieńszych autorów?

b) Jakiej pragnąłbyś książki o Poznaniu i Wielkopolsce?

Imię i nazwisko uczestnika konkursu:

Dokładny adres:

Nie akcje okrętów alianckich, lecz „samozatopienia” były przyczyną strat hitlerowskiej Kriegsmarine — oto linia po której idą dzisiejsi piewcy jej czynów. Autor omawia tę metodę na przykładzie sprawy znanego krążownika korsarskiego „Atlantis”.

Jest osobliwą cechą powojennych publikacji niemieckich apologetycznych działalność bojową Kriegsmarine — napisał przed dwoma laty autor brytyjskiej oficjalnej historii wojny morskiej 1939—1945, komandor Roskill — że z monotonią już regularnością przypisują one niemal wszystkie w czasie wojny własne straty samozatopieniu okrętów przez ich załogi. Na potwierdzenie zaś tych słów, wywołanych „rewelacjami” niemieckich autorów, jakoby „Bismarck” został zatopiony nie przez brytyjskie okręty, ale wskutek otwarcia zaworów dennych przez załogę, Roskill wskazał na opublikowaną w zachodnoniemieckim czasopiśmie „Marine Rundschau” listę strat U-Bootów, w której olbrzymia ich większość została wykazana jako okręty samozatopione („selbst versenkt”). Zawarta w tym sugestii, iż nieprzyjacieli nie miał nic wspólnego z tymi stratami, jest z pewnością trochę kazuistyczna — oświadczył w zakończeniu tej uwagi Roskill.

Ta uwaga Roskilla przypominała mi się przy czytaniu niektórych świeżych publikacji z tej samej dziedziny, przy czym nie będzie chyba żadnej przesady w stwierdzeniu, iż zakwestionowana przez brytyjskiego historyka marynarki metoda gloryfikowania działalności Kriegsmarine nie ogranicza się do samej U-Boot-Waffe, ale rozciąga również na wszystkie inne człony hitlerowskiej marynarki i w ogóle całego

Wehrmachtu. Kilka zaś dalszych przykładów dał tygodnik „Deutsche Soldaten-Zeitung und National-Zeitung” w przyczynkach pióra różnych autorów, z których wybieramy dotyczące działań morskich.

Z okazji przejścia na emeryturę dotychczasowego dowódcy okręgu wojkowego nr 1, kontradmirała Bernarda Roggego, przypomniana została jego kariera wojskowa w latach przed, podczas i po wojnie. I oto informacja ta na temat dowodzenia przez Roggego w latach 1940—1941 krążownikiem pomocniczym „Atlantis”, uprawiającym dzia-

które przesądzało całą sprawę, jest zwyczajnym mijaniem się z prawdą i jej przemilczaniem.

Ale nie to przemilczanie, tak już typowe dla apokryficznej glorii Kriegsmarine, jest najważniejsze. Szczególny niesmak wywołuje to, że autor informacji w tym samym zdaniu zasugerował coś znacznie gorszego, coś co każdego uczciwego człowieka przejąć musi odrazą. Zasugerował mianowicie, że załódze zatopionego „Atlantis”, „groziło pewne zniszczenie przez nieprzyjacielskie okręty wojenne”. Jaki wniosek można wysnuć z takiego sformułowania? Chyba tylko ten, że brytyjskie, czy w ogóle alianckie okręty, zamierzały zbombardować i zatopić szalupy lub tratwy z rozbitkami z „Atlantis”. Wiemy, że czyniły tak niektóre U-Booty z rozbitkami z zatopionych przez siebie okrętów, ale w przypadku rozbitków z „Atlantis” było zupełnie inaczej. „Devonshire” ich nie wywołał, to prawda, jednakże dowódca krążownika służył nie podejmował obecności U-Bootów w tym rejonie i nie chciał dla jeńców narazić swego okrętu. Zostali oni wyłowieni przez „U-126” i z kolei przekazani na pokład „Typhona”, który był statkiem zaopat-

trzeniowym „Atlantis” i innych krążowników pomocniczych. Kilka dni później „Typhon” został wytopiony przez inny brytyjski krążownik „Dorsetshire”, również podczas zaopatrywania U-Bootów i po krótkotrwałej ucieczce, kiedy Anglicy rozstrzelali ostrzelanie, statek zastopował, a znajdujący się na nim ludzie przeszli do szalup otwierając kingstony. „Typhon” poszedł na dno, a wtedy „Dorsetshire”, cały czas manewrujący na dużej szybkości, z obawy przed U-Bootami, i nie ostrzeliwujący już statku, aby umożliwić zejście załogi do szalup, odpłynął. Teraz U-Booty przystąpiły do holowania szalup, a później rozbitkowie zostali porzuceni na kilka włoskich okrętów podwodnych, które przywiozły ich do portów okupowanej Francji.

Tak więc widzimy, że rozbitkom z „Atlantis” nie groziło żadne, a tym bardziej „pewne zniszczenie” ze strony brytyjskich okrętów poza normalnym ryzykiem i niebezpieczeństwem, na jakie w czasie wojny wystawiona jest na morzu każda załoga i wszyscy pasażerowie. I dlatego zastoso- wany przez Hannsa Möllera-Wittena, autora cytowanych informacji, sposób apokryficznego gloryfikowania Kriegsmarine przy równoczesnym szkoleniu jej ówczesnych przeciwników (a dzisiejszych sojuszników) nie tylko z nawiązką potwierdza przytoczone na wstępie uwagi komandora Roskilla, ale i rzuca wymowne światło na ustosunkowanie się Niemców do swych dzisiejszych brytyjskich sojuszników w łonie NATO.

Z TEK I CZ. CHRUSZCZEWSKIEGO (Pawła Rewicza)



Stanisław Mrowiński
karykaturzysta

Wiadomo powszechnie, że niemiecki krążownik pomocniczy został przychwycony na południowym Atlantyku przez ciężki krążownik brytyjski „Devonshire” w momencie, gdy przy burcie „Atlantis” znajdował się okręt podwodny „U-126”, pobierający właśnie paliwo. U-Boot zdołał się zanurzyć nie zauważony, a „Atlantis” próbował wprowadzić „Anglików” w błąd podając się za statek hiszpański „Polyphemus”. Próba ta jednak zawiodła i Anglicy otworzyli ogień ze swej ciężkiej artylerii. Nakryty kilku trafieniami „Atlantis” zaczął płonąć i wtedy Rogge kazał załódze opuścić pokład po uprzednim otworzeniu kingstonów dennych. Niewątpliwie przyspieszyło to zatoniecie krążownika pomocniczego, ale określanie przyczyny straty „Atlantis” jako „samozatopienie”, przy pominięciu milczeniem niewątpliwie najbardziej tu istotnego faktu wykrycia korsarskiego okrętu przez brytyjski krążownik i podjętego przezeń ostrzelania,



Nieznamy stenogram z kwatery Hitlera

Prasowym wydarzeniem tygodnia jest opublikowany w ostatnim numerze Nowej Kultury stenogram z odprawy w głównej kwaterze Hitlera, zwanej „Wilczą Jamą” (Wolfsschanze) odbytej rano 12. 12. 1942. W rozmowie, poświęconej sytuacji na frontach wojny, udział wzięli: Hitler, generał Zeitzler, gen. Jodl, gen. Bodenschatz, gen. leutnant Buhle, gen. leutnant Heusinger, gen. leutnant Warlimont, wiceadmirał Krancke, poseł Hewel, ppłk. Christian.

Omawiany dokument składa się z 70 stron tekstu. Na omówienie frontu wschodniego (radzieckiego) przypada ok. 50, na Afrykę z wojną morską ok. 16, a na wojnę lądową ok. 4 strony.

Oto wybrany fragment (rozmowa toczy się nad mapą — dop. Lektora):

„Fuehrer: ...Decydujące znaczenie ma jednak, (Stalingrad) utrzymać. Tylko naturalnie sprawa ta za wszelką cenę musi zostać uregulowana. Jeśli to raz dostać w garść, a widzę w wyobraźni ten kocioł, wówczas kiedys pragnąłbym to porównać z Charkowem. To jest ten kocioł, który teraz tu powstaje. Kocioł charkowski rozciągał się prawie aż do Krasnodaru.

HEUSINGER: Ten przebiegał tu w dół, następnie dołąć, po czym dochodził tutaj.

FUEHRER: Ten (kocioł) jest być może nieco większy. Ale na ogół jest to podobna sytuacja. Jedynym for tamtego (nieprzyjaciela), to że posiada tutaj kolej.

CHRISTIAN: Czynnikiem, który wówczas pod Charkowem spowodował największe trudności, był fakt zniszczenia przez nas mostu. Tym razem jednak zbudował on (NPL) bardzo wiele mostów. Wówczas spowodowało to ten wielki zator.”

Stenogram ten, opatrzone kryptonimem „Dokument 1383-PS”, jest po raz pierwszy drukowany w Polsce i prawdopodobnie, jak pisze w artykule wstępnym Szymon Datner, w ogóle jeszcze nigdy nie był publikowany w żadnym języku. Jedyną jego wadą jest... zbyt dosłowne tłumaczenie z języka niemieckiego. W polskim tekście aż się roi od germanizmów żywcem przełumaczonych na język polski. Ale to w żadnym wypadku nie osłabia wymowy tego dokumentu. Jest naprawdę rewelacyjny. Dokończenie zamieści Nowa Kultura w następnym numerze.

Jak pracują Polacy?

Artykułem pod takim tytułem rozpoczyna Krzysztof T. Toeplitz na łamach Przeglądu Kulturalnego ciekawą dyskusję poświęconą posłepowi technicznemu w szerokim jego słowa znaczeniu. Autor rozpoczyna artykuł od frapującego pytania:

„Jak pracują Polacy? Mało czy dużo? Wydajnie czy niewydajnie? Efektywnie czy chaotycznie? I jaka jest nasza postawa wobec pracy?”

I zaraz odpowiada, że istnieją na tym gruncie trzy poglądy: pierwszy — Polacy pracują mało i w ogóle nie pracują („Czy się stoi czy się leży, dwa tysiące się należy”); drugi — nieco irracjonalny, zaczerpnięty z reportażu o Polsce pewnego zagranicznego dziennikarza: przy bardzo niskiej wydajności pracy odbywa się w szybkim tempie wzrost stopy życiowej; trzeci — pogląd prywatny każdego z nas: wszyscy jesteśmy zapracowani, nie mamy czasu, czujemy się zmęczeni, stale gonimy, robimy po kilka rzeczy na raz.

Który pogląd jest słuszny?

„Wydaje się — pisze Toeplitz — że źródło tej całej zagadki, którą ekonomisci na pewno potrafi-

liby zdefiniować precyzyjnie, leży w dysproporcji pomiędzy masą wydatkowanej energii produkcyjnej, a samą organizacją i ideologią pracy. Myślę, że w sumie pracujemy dużo, i nie tylko wydatkujemy dużo energii (której część rzeczywiście zostaje zmarnowana, zużyta na przełamywanie trudności (...)) na skutek złej organizacji pracy, złego użycia maszyn, brak nowoczesnych urządzeń, ale wykonujemy również ogromny realny wysiłek produkcyjny. Lecz jest to wysiłek często rozproszony, chaotyczny, robiący wrażenie bezcelowego.”

Autor pisze również o tym, że nowoczesny pracownik czuje się bardziej członkiem zwartej organizacji, ogniwem łańcucha niż „solista” o złotych rękach. Artykuł, jak i poglądy w nim wyrażone, wnoszą dużo nowego w szlompowo dotychczas poruszany temat: Jak pracują Polacy? Dlatego zachęcam do przeczytania tego artykułu.

Spór: India czy Indie?

Tygodnik Powszechny, który swego czasu opublikował artykuł prof. Konrada Górskiego pt. „Ta India czy te Indie!” zamieszcza porcję listów, pisanych do redakcji w związku z tym nowym problemem. Autorzy listów bądź zgadzają się z prof. Górskim i zdecydowanie są za utrzymaniem nazwy Indie, bądź też skłaniają się ku nowemu nazwie. Bardzo ciekawy jest m. in. list prof. Witolda Taszyckiego, jednego z największych autorytetów w zakresie onomastyki. List ten pisany jest bezpośrednio do prof. Górskiego. Czytamy w nim:

„W całej rozciągłości godzę się z Twoimi wywodami i oboma rękami podpisuję (...). Jeżeli Cię to interesuje, przypominam, że zastużony w szeregu kultury językowej Stanisław Szober, pisze wyraźnie w swoim słowniku ortograficznym: „Ind i e, nie India” (...). Jestem zdecydowanie przeciwny wprowadzeniu formy India. To niepotrzebny i niecelowy zabieg nazewnictwa. Daję temu wyraz w rozmowach przy każdej sposobności. Nie kryję się ze swoim zdaniem. Zamierzam

o tym parę słów napisać. Tyś mnie niejako wyręczył (...). Przypominając się bodaj przez Ind i e Twojej pamięci, łączę serdeczne wyrazy.”

Niżej podpisany również uważa, że forma India jest szluczna i raczej nie znajdzie prawa obywateliwa w języku polskim.

Wywiad z Zatopekem

Dyskusja o sporcie polskim pf. Polska — goła! na łamach Polityki — trwa. Obok artykułu Katarzyny Buczkowskiej, poświęconego środkom finansowym wydawanym na sport i dysproporcjom między wyczynowością a kulturą fizyczną i turystyką, znajdujemy w Polityce rozmowę Daniela Passenita z Emilem Zatopekem. Temat rozmowy: „Czy w drugiej połowie XX wieku można dokonywać wyczynów sportowych i bić rekordy nie poświęcając się w pełni tylko uprawianiu sportu. Innymi słowy — czy można być amateorem? Zatopek mówi:

„Jestem przeciwny dzieleniu sportowców na amatorów i zawodowców. Buntuję się przeciwko niektórym przepisom. Np. w Stanach Zjednoczonych amator nie ma prawa być trenerem, a nawet pisać o sporcie do gazet. Rygory te mają uniemożliwiać wszelki zarobek z tytułu sportu, gdyż dobry zawodnik powinien przekazywać swoje umiejętności młodszymi i popularyzować sport w prasie... — Za pieniądze?

— Na dzień przed Olimpiadą w Melbourne Amerykanie zdyskwalifikowali jednego ze swych faworytów, ponieważ napisał artykuł o sporcie.”

To mówi Zatopek, który startował przez 18 lat i ani razu nie wziął za to pieniędzy, nigdy nie podpisywał żadnego kontraktu. A jednak ten zawodnik jest przeciwny dzieleniu sportu na zawodowy i amatorski. Rzecz godna zastanowienia.

LEKTOR

Eugeniusz Paukszta

Witryna „Iskier”

Bardzo się ucieszyłem z wydania książki Stefana Garczyńskiego SZUKA ROZMOWY. Autor w błyskotliwy, ciekawy, a zarazem bardzo przystępny sposób uczy sztuki, która nie ma u nas jeszcze zbyt wielu przysięgłych adeptów: sztuki rozmowy, dyskusji, przemawiania. Odkrywa prawdy zdawałoby się proste, a przecież nieznanne, wyjaśnia, informuje, czyniąc to w sposób najbardziej trafiający do przekonania. Serdecznie polecam tę książkę każdemu, kto w kontaktach z bliźnimi nie chce być nudziarzem, nieśmiałym, beznamiętną paplą. A takich wszak między nami sporo...

Od sztuki konwersacji przejdźmy do sztuki historii. O niej pisze Paweł Jasienica w tomie szkiców „TYLKO O HISTORII”, dzieląc się z czytelnikiem we właściwy sobie, urzekający sposób własnym widzeniem minionych epok, sposobem ich odszyfrowywania, podejściem do źródeł, ich interpretacją. Z Jasenicą można się zgadzać albo spierać, zawsze jednak zostaje się pod urokiem jego imponującej wiedzy, czytania, swobody wygłaszania sądów. I dlatego, zarówno wtedy, gdy pisze o Marku Tuliuzju, jak i wtedy, gdy omawia wydanie „Historii Polski”, esejystyka jego jest nieustannie pociągająca, niezauważalnie zarazem solidnie wzbogaca nasz zasób wiedzy.

Do historii niedawnej, choć silniej może niż wszystko inne zapisanej w naszej pamięci, sięgają dwaj inni pisarze. Jan Parandowski, ogłosił tomik opowiadań „WRZESNIOWA NOC”. Są to utwory osnute na tle przeżyć i refleksji czasu okupacyjnego. Od wrześniowej tułaczki aż po pierwsze dni powojenne, Parandowski prowadzi czytelnika torem odczuć i przemysłów intelektualisty, wyrwanego nagle ze spokoju obcowania z kulturą i zmuszonego żyć ze światem pełnym zaskakujących, nieludzkich okrucieństw. Prześlizgnij język, klasyczny w swojej prostocie i urodzie styl, niejedno nowe spojrzenie na okupację, sprawiają, że książeczka ta, to jedna z najciekawszych lektur ostatniego okresu. Polecałbym także inną w rodzaju, doskonale skonstruowaną powieść Tadeusza Hołuj „JEDEN STAMTAD”, zaczynającą się w naszych dniach, kryminalną aferą zabójstwa. Nici sięgają jednakże głębiej, to jeszcze porachunki okupacyjne, płatnina losów ludzkich w tam

tym czasie, konspiracja, potem zaś przyczajenie się, odzeganie od przeszłości związanej z fałszem. I nagle, opublikowany pamiętnik odstawia tamte dni, pierwsza część pamiętnika, druga zapowiedziana...

Z książek pisarzy współczesnych młodego pokolenia wydanych ostatnio przez „Iskry”, warto zwrócić uwagę na powieść Jerzego Krasińskiego „Z TEJ SAMEJ GLINY”, szeroki obraz codziennego życia ludzi jednej kamienicy. Sprawy drobne i wazkie, kłopoty i tragedie, bogata panorama typów, gmatwanina wzajemnych powiązań — w sumie utwór intrygujący akcją, niemniej w zakończeniu jakgdyby urwany, niedokończony. Podkreślić trzeba świetne podpatrzenie realiów. Książka „do czytania”. Pewną powierzchownością również grzeszy Ryszard Lassota w powieści „NOC MIŁOŚCI I NIECO POZNIEJ”, ukazującej

środowisko młodego uczonego. I tutaj akcja jest wartka, miejscami sensacyjna, i tutaj bogaty zasób obserwacji, chociaż w czytelniku pozostaje niedosyt, obraz młodego pokolenia wydaje się zbyt jednostronny. Niemniej lektura napewno ciekawa i w jakimś stopniu pouczająca.

Z przekładów „Iskier” warto zalecić powieść Carmen Laforet „ZŁUDA”, w tłumaczeniu z hiszpańskiego Kaliny Wojciechowskiej. Powieść pisana w formie pamiętnika, odstawia wyścinek hiszpańskiej rzeczywistości po wojnie domowej, ponurą, światłą mieszczanką, skoncentrowaną wokół niemniej ponurego domu w Barcelonie. Bardzo ciekawe studia psychologiczne postaw ludzkich w okresie trudności powojennych, jaskrawość ocen, unikliwość w szukaniu przyczyn narastania zła, wreszcie wiara w siłę młodości, w jej bunt przeciw zastalym wodom obłudy społecznej — stanowią główne atuty tej książki.

Rozchwytywana seria „Naokoło świata” wzbogacona została o nową pozycję. „W okowach lodu” A. F. Triesznikowa, kierownika ekspedycji radzieckiej na Antarktydę. Czternastą miesięcy wśród skał i lodów, w oblężeniu surowej natury i równie surowych zadań badawczych, takich jak zakładanie stycznej stacji Wostok-2, wśród niespodziewanych niebezpieczeństw — oto treść relacji Triesznikowa, opowiedziane prostym, sugestywnym językiem.